



BERNARD  
*Cornwell*

WOJNY  
WIKINGÓW  
TOM II



ZWIASTUN  
BURZY





B E R N A R D  
*Cornwell*

ZWIASTUN  
BURZY

TLUMACZENIE  
AMANDA BEŁDOWSKA



**OTWARTE**

KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: *The Pale Horseman*

Copyright © Bernard Cornwell 2005

Copyright for this edition © Wydawnictwo Otwarte 2019

Tłumaczenie: Amanda Beldowska

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-528-0



[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

# **WIKING**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdy spoglądam na dzisiejszych dwudziestolatków, widzę mających mleko pod nosem, żalonych w swej młodości młokosów. Lecz kiedy sam miałem tyle lat co oni, uważałem się za zupełnie dorosłego mężczyznę. Mężczyznę, który spłodził syna, walczył w murze tarcz i nie chciał słuchać rad innych. Ujmując rzecz krótko: w wieku dwudziestu lat byłem durnowaty i krnąbrny, a owa młodzieńcza głupota pchnęła mnie do czegoś, czego nigdy nie powinienem był uczynić. Działo się to po naszym zwycięstwie pod wzgórzem Cynuit.

Bitwa z Duńczykami rozegrała się nad oceanem, tam gdzie płynąca z rozległych moczarów rzeka Saefern wpada doń szerokim ujściem, a jej fale z pluskiem uderzają o błotnisty brzeg. Tam właśnie ich pokonaliśmy. Zgotowaliśmy im wielką rzeź, w której ja – Uhtred z Bebbanburga – odegrałem niemalą rolę. Pod koniec bitwy stawilem czoło potężnemu Ubbie Lodbroksonowi – najbardziej przerażającemu z duńskich wodzów. Wymachujący olbrzymim bojowym toporem Ubba wbił się w nasz mur tarcz, a ja pokonałem go i posłałem pośród szeregi einherjów – armii poległych wojów, którzy uczują i spółkują w należącym do Odyna pałacu umarłych.

Zgodnie z radą Leofrica powinienem był wówczas dobiec konia i popędzić prosto do Exanceasteru, gdzie król

Sasów zachodnich Alfred prowadził oblężenie wojsk Guthruma. Powiniennem był zajechać do miasta w samym sercu nocy, kazać zbudzić króla, a następnie rzucić mu do stóp wojenną chorągiew z czarnym krukiem oraz topór Ubby ze skorupą zaschłej krwi. Należało przekazać Alfredowi dobre wieści o zwycięstwie nad Duńczykami, o tym, że garstka ocalałych nieprzyjaciół w panice uciekała na łodzi ze smoczymi głowami, że królestwo Wessexu jest bezpieczne i że to wszystko jest zasługą moją – Uhtreda z Bebbanburga.

Lecz zamiast tego ruszyłem do żony i dziecka.

W wieku dwudziestu lat wolalem czym prędzej znaleźć się w łóżu Mildrith, niż otrzymać nagrodę w postaci dalszego życiowego powodzenia. I tego właśnie nie powiniennem był czynić. Patrząc jednak wstecz, nie czuję do siebie głębokiego żalu, że dokonałem wówczas innego wyboru. Przeznaczenia nie można oszukać. Słodko było dzielić z Mildrith alkowę, mimo że najpierw nie chciałem się z nią żenić, a potem ją znienawidziłem.

W ten oto sposób późną wiosną 877 roku całą sobotę, jaka nastąpiła po bitwie pod wzgórzem Cynuit, spędziłem w drodze do Cridianton zamiast do Alfreda. Wziąłem ze sobą dwudziestu ludzi i zapewniłem Leofrica, że do niedzielnego południa dotrzemy do Exanceasteru, gdzie dopilnuję, by Alfred dowiedział się, komu zawdzięcza wygraną bitwę i ocalone królestwo.

– Do niedzielnego południa Odda Młodszy dotrze tam nawet na piechotę – przestrzegł mnie Leofric. Miał prawie dwa razy tyle wiosen co ja i był niezniszczalnym wojownikiem, zaprawionym w boju przez lata walk z Duńczykami. – Słyszałeś, co powiedziałem? – Zapytał, gdy nie odezwałem się słowem. – Do tego czasu dotrze tam Odda Młodszy – powtórzył. – Zobaczysz, że na to gęsie łajno spadnie cały blask naszej chwały.



– Prawdy nie można ukryć – stwierdziłem filozoficznie. Leofric wyśmiał mnie. Był mocno zbudowanym brodaczem i choć doskonale nadawał się na dowódcę floty Alfreda, nie został nim z powodu niskiego urodzenia. Po naszych długich staraniach król – choć z pewnymi oporami – powierzył pieczę nad dwunastoma statkami mnie. Pochodzenie – byłem wszakże ealdormanem – czyniło mnie właściwym kandydatem na to stanowisko. Flota Wessexu liczyła sobie ledwie dwanaście statków. Było to stanowczo za mało, żeby zmierzyć się z masą duńskich łodzi, które przybiły do zachodniego wybrzeża królestwa.

– Wiesz, bywają dni, że znów jesteś pierdołą – zezłościł się Leofric. „Pierdoła” należała do jego ulubionych przezwisk, tak samo jak bardziej pieszczotliwy „dupinsynek”, czyli ktoś, kto wyskoczył diabłu z tyłka. Tak nazywał mnie Leofric. Byliśmy przyjaciółmi.

– Pomówimy z Alfredem jutro.

– A Odda Młodszy pomówi z nim dzisiaj – tłumaczył Leofric.

Odda Młodszy był synem Oddy Starszego, który to w czasie najazdu Duńczyków udzielił mojej żonie schronienia. Odda Młodszy nie żywił do mnie braterskich uczuć. Przyczyną tej niechęci była Mildrith, z którą zamierzał dzielić łożę, dopóki nie stanąłem mu na przeszkodzie. Z kolei ja uważałem Oddę Młodszego za gęsią kupę, śliską i lepłą, a mój stosunek do niego również daleki był od życzliwości.

– Pomówimy z Alfredem jutro – powtórzyłem zniecierpliwiony.

Następnego ranka wszyscy ruszyliśmy do Exanceasteru. Moi ludzie eskortowali Mildrith oraz naszego syna i jego niańkę.

Alfred przebywał w północnej części miasta. Zielony sztandar z białym smokiem powiewał nad namiotami. Pozostałe chorągwie łopotały na niosącym wilgoć wietrze. Barwny szereg flag przedstawiał dzikie mityczne bestie, krzyże, świętych i broń. Chorągwie obwieszczały całemu światu, że wszyscy mężczyźni lordowie Wessexu są przy swoim królu. Na jednej widniało godło z czarnym jeleniem. Leofric miał zatem rację. Odda Młodszy już tu był. Poza obozem, pomiędzy jego południowymi obrzeżami a murami miasta, znajdował się przestronny pawilon wykonany z płótna żaglowego rozpostartego pomiędzy przytrzymywanymi przez liny słupami. Ten widok uzmysłowił mi, że Alfred, zamiast walczyć z Guthrumem, prowadzi z nim rozmowy. Negocjowali warunki rozejmu. Do Exanceasteru przybyliśmy w niedzielę, a więc w dniu, w którym Alfred nie pracował, jeśli tylko nie musiał. Znalazłem go klęczącego w prowizorycznym kościółku. Tak jak pawilon, zrobiony był z płachty żaglowego płótna rozciągniętej pomiędzy słupkami. Za królem w szeregach ustawili się wszyscy wielcy lordowie oraz tenowie – niektórzy odwrócili głowy, słysząc tętent kopyt naszych koni. Jednym z nich był Odda Młodszy. Zobaczyłem, jak jego pociągła twarz bieleje z przerażenia.

Mszę odprawiał biskup, który teraz zamilkł w oczekiwaniu na odpowiedź wiernych. Dało to Oddzie pretekst, by odwrócić się do ołtarza. Klęczał tuż przy Alfredzie, co wskazywało, że awansował do grona wysoko uprzywilejowanych ludzi króla. Byłem przekonany, że przywiózł do Exanceasteru należącą do poległego Ubby chorągiew z krukiem wraz z jego wojennym toporem i teraz domagał się chwały oraz uznania za walkę stoczoną nad brzegiem morza.

– Kiedyś rozpruję łajdaka od krocza po gardło i zatańczę na jego wnętrznościach – zapowiedziałem mściwie Leofricowi.

– Trzeba to było zrobić wczoraj.

Przy ołtarzu klęczał jakiś ksiądz, jeden z wielu duchownych, którzy zawsze otaczali Alfreda. Zobaczył mnie i możliwie najdyskretniej się wycofał, aż w końcu wstał i pospiesznie ruszył w moją stronę. Był rudowłosy i zezowaty, jego lewa ręka drżała, a na brzydkiej twarzy malował się wyraz pełnej zdumienia radości.

– Uhtredzie! – zawołał, biegnąc w stronę naszych koni. – Uhtredzie! Myśleliśmy, że nie żyjesz!

– Ja? – Uśmiechnąłem się do niego szeroko. – Martwy?

– Byłeś zakładnikiem!

W Werham byłem jednym z kilkunastu zakładników Guthruma. Wszyscy zginęli od duńskich mieczy. Jedyne ja ocalałem, co zawdzięczam jarlowi Ragnarowi, który wówczas się za mną wstawił. Ragnar jest teraz dla mnie niczym brat.

– Nie zginąłem, ojcze – powiedziałem księdzu, któremu na imię było Beocca – dziwię się jednak, że nie wiedziałeś o tym.

– Skąd niby miałem o tym wiedzieć?

– Ponieważ byłem pod Cynuit, ojcze, i Odda Młodszy mógł ci powiedzieć, że tam walczyłem i że żyję. – Mówiąc to, wbilem twarde spojrzenie w Oddę.

Beocca wychwycił ponury ton mojego głosu.

– Byłeś pod Cynuit? – spytał stropiony.

– Czyżby Odda Młodszy ci o tym nie wspomniał?

– Niczego takiego nie powiedział.

– Nie powiedział!

Oburzyłem się. Spiąłem konia i wbilem się w tłum klęczących mężczyzn, kierując się ku Oddzie. Beocca próbował mnie powstrzymać, ale strąciłem jego dłoń z wodzy. Mądrzejszy

ode mnie Leofric został w tyle, ja tymczasem przebijalem się przez ostatnie szeregi modlących się. W końcu tłok wiernych zrobił się tak duży, że mój koń nie był w stanie posunąć się dalej. Utkwiłem wzrok w Oddzie.

– Nie powiedział wam, w jaki sposób zginął Ubba? – spytałem Beocę, który za mną podążył.

– Mówił, że zabito go w murze tarcz – odparł ścisłym głosem duchowny, by nie zakłócać liturgii – i że wielu mężów przyczyniło się do jego śmierci.

– Pokaż mi zatem tych, którzy mają czelność twierdzić, że przyczynili się do śmierci Ubby Lodbroksona! – zażądałem groźnie.

Beocca wyczuł zbliżające się kłopoty i próbował im zaradzić.

– Pomówimy o tym później – rzekł uspokajająco. – Teraz dołącz do modlitwy, Uhtredzie.

Beocca nie tytułował mnie lordem. Zwracał się do mnie po imieniu, gdyż znał mnie od dziecka. Obaj byliśmy Northumbryjczykami, Beocca niegdyś służył jako ksiądz u mego ojca. Gdy Duńczycy zajęli nasz kraj, udał się do Wessexu i dołączył do Sasów, którzy wytrwale stawiali opór najeźdźcy.

– Teraz jest czas na modlitwę – obstawał – nie na spory.

Ja jednak byłem w bojowym nastroju.

– Którzy wojownicy twierdzą, że zgladzili Ubbę? – zażądałem.

– Dziękują Bogu, że poganin nie żyje – rzekł wymijająco Beocca, po czym zamachał gorączkowo ułomną ręką, próbując mnie uciszyć.

– Zatem kto, według ciebie, zabił Ubbę Lodbroksona? – drążyłem, a gdy Beocca milczał, odpowiedziałem za niego. – Czy naprawdę sądzisz, że zginął od miecza Oddy Młodszeo?

Odniosłem wrażenie, że Beocca tak właśnie uważa. Krew się we mnie wzburzyła.

– To ja walczyłem z Ubbą, jeden na jednego – oznajmiłem dobitnie, zbytnio unosząc głos. – W bezpośredniej walce, tylko ja i on. Mój miecz przeciwko jego toporowi. Gdy stanąłem z nim do boju, nie był ranny, ojcze, ale gdy skończyłem, leżał martwy. Jego dusza powędrowała na spotkanie z braćmi do pałacu umarłych.

Ogarnęła mnie wielka złość, zacząłem krzyczeć. Rozproszeni tym hałasem wierni odwrócili się i na mnie zerkali. Biskup, w którym rozpoznałem biskupa Exanceasteru, tego samego, który udzielił ślubu mnie i Mildrith, nerwowo zmarszczył brwi. Jedynie Alfred zdawał się nieporuszony całym zajściem, jednakże po chwili z irytacją powstał z kolan i zwrócił się w moją stronę. Aelswith – jego małżonka o zawzięcie zaciśniętych wargach – syknęła mu coś do ucha.

– Czy znajdzie się tu choć jeden człowiek – krzyknąłem – który będzie miał odwagę zaprzeczyć, że to ja, Uhtred z Bebbanburga, w samotnej walce zabiłem Ubbę Lodbroksona?

Zapadła cisza. Nie miałem zamiaru zakłócać przebiegu mszy. Ale owładnęły mną silne emocje – zraniona duma i niepohamowana furia. Nie potrafiłem ich powstrzymać. Patrzyli na mnie wszyscy, nagły podmuch wiatru załopotał chorągwiemi i kilka kropel deszczu spadło z krawędzi płóciennego zadaszania. Wciąż nie otrzymałem odpowiedzi na swoje pytanie, ale zgromadzeni widzieli, że spoglądam na Odde. Niektórzy zerkali na niego w nadziei, że coś powie, lecz on nabrał wody w usta.

– Kto zabił Ubbę? – krzyknąłem do niego.

– Takie zachowanie nie przystoi – odezwał się ze złością Alfred.

– Chcecie wiedzieć, czym zgładziłem Ubbę? Proszę bardzo! – zawołałem, teatralnym gestem dobywając Oddech Węża.

Oto popełniłem kolejny fatalny błąd.

Kiedy zimą siedziałem zamknięty w murach twierdzy Werham jako jeden z zakładników Guthruma, w Wessexie wydano dekret, na mocy którego nikt, z wyjątkiem królewskich strażników, nie mógł w obecności króla wyciągać broni. Prawo to miało nie tylko chronić Alfreda, ale także zapobiegać śmiertelnym w skutkach bójkom pomiędzy możnymi z jego otoczenia. Dobytając Oddechu Węża, złamałem więc prawo i straż przyboczna króla natychmiast wymierzyła we mnie broń. Odziany w czerwoną szatę, pozbawiony nakrycia głowy Alfred uniesieniem dłoni nakazał wszystkim ciszę. Po chwili podszedł do mnie zagniewany. Miał pociągłą twarz, długi nos i brodę, wysokie czoło oraz wąskie usta. Zwykle się golił gładko, teraz jednak zapuścił krótką bródkę, która dodała mu lat. Nie liczył sobie jeszcze trzydziestu wiosen, a wyglądał prawie na czterdziestolatka. Był chorobliwie chudy, a wskutek wielu dokuczających mu schorzeń na jego twarzy stale gościł cierpiętniczy grymas. Wyglądał raczej jak kapłan niż król Sasów zachodnich. Jego cera była blada, gdzieś podrażniona, typowa dla kogoś, kto całe dni siedzi zamknięty w murach i ślęczy nad uczonymi księgami. Mimo to jego spojrzenie jaśniało blaskiem władzy. Miał bardzo jasne oczy, szare jak stal kolczugi. Były to oczy, które nie znały wybaczenia.

– Pogwałciłeś czas pokoju przywróconego dzięki Chrystusowi – oświadczył z naganą w głosie.

Schowalem Oddech Węża do pochwy. Zrobiłem to, gdyż Beocca wycedził przez zęby, bym natychmiast przestał zachowywać się jak dureń i odłożył broń. Teraz szarpał mnie za prawą nogę, chcąc ściągnąć mnie z konia i nakłonić, bym uklęknął przed Alfredem. Ubóstwiał króla. Na twarzy przyglądającej mi się Aelswith malowała się bezbrzeżna pogarda.

– Powinien zostać ukarany – oznajmiła.

– Udasz się do tamtego miejsca – rzekł król, wskazując na jeden z namiotów – i poczekasz na mój osąd.

Otoczony przez strażników w kolczugach i hełmach, nie miałem innego wyboru, jak tylko posłusznie spełnić rozkaz. Zabrano mnie przed namiot, zsiadłem z konia i wszedłem do środka. Pachniało tam poźółkłą, zwiędniętą trawą. Krople deszczu uderzały o płócienne zadaszenie, a niektóre przeciekały wprost na ołtarz z krucyfiksem i dwoma pustymi świecznikami. Najwyraźniej namiot pełnił funkcję prywatnej kaplicy króla. Alfred długo kazał czekać na swój osąd. Zgromadzeni na mszy wierni rozeszli się, deszcz przestał padać i blade promienie słońca przebiły się przez chmury. Ktoś grał na harfie. Pomyślałem, że ładną melodią umila Alfredowi i jego żonie posiłek. Do namiotu wszedł pies, omiół mnie spojrzeniem, po czym beztrąsko podniósł nogę przy ołtarzu i po chwili wybiegł na zewnątrz. Słońce przykryły chmury i deszcz na nowo zabębnił o płótno namiotu. Chwilę później u wejścia coś się poruszyło i do środka wkroczyło dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Aethelwold – królewski bratanek, niedoszły następca tronu, który powinien był odziedziczyć koronę Wessexu po swoim ojcu, lecz – uznany za zbyt młodego – musiał ustąpić miejsca wujowi Alfredowi. Rzucił mi zażenowany uśmiezek. Obok niego stał zwalisty, zarośnięty i jakieś dziesięć lat starszy mężczyzna. Brodac

kichnął i wydmuchał nos w dłoń, którą zaraz wytarł o skórzaną zbroję.

– I to ma być wiosna? – odezwał się zrzędliwie. – Przekłety deszcz, ciągle pada i pada. Wiesz, kim jestem?

– Jesteś Wulfhere – odparłem. – Ealdorman ziemi Wil-tunsciru.

Mężczyzna ów był kuzynem króla i najważniejszym możliwym Wessexu. Przytaknął.

– A czy wiesz, kim jest ten przekłety głupiec? – zapytał, wskazując na Aethelwolda, który trzymał biały tobolek.

– Poznaliśmy się – odrzekłem.

Aethelwold był młodszy ode mnie zaledwie o miesiąc. Powinien się cieszyć, że wuj Alfred pozostał wierny miłosiernym zasadom chrześcijaństwa i w zaistniałej sytuacji politycznej nie kazał poderżnąć mu gardła. Aethelwold był zdecydowanie przystojniejszy od wuja i na tym kończyły się jego przewagi nad Alfredem. Był naiwny, arogancki i przeważnie pijany, choć tego niedzielnego poranka wykazywał się niezwykłą wręcz dla siebie trzeźwością.

– Sprawuję nadzór nad Aethelwoldem – wyjaśnił Wulfhere – a teraz także nad tobą. Król kazał cię ukarać. – Zadumał się na chwilę. – Jego małżonka życzyłaby sobie, bym wywlekl trzewia przez ten twój śmierdzący tyłek i nakarmił nimi świnie. – Spojrzał na mnie. – Czy wiesz, jaka jest kara za dobytecie miecza w obecności króla?

– Grzywna? – strzeliłem.

– Śmierć, głupcze, śmierć. Ostatniej zimy ustanowili nowe prawo.

– Skąd miałem o tym wiedzieć?

– Ciesz się, że Alfred jest w litościwym nastroju. – Wulfhere zignorował moje pytanie. – Nie zadyndasz dziś na



stryczku. Musisz za to dać mu słowo, że więcej nie złamiesz pokoju.

- Jakiego znowu pokoju?

- No przecież mamy prawie pokój. Powinniśmy walczyć z Duńczykami, a nie kroić się wzajemnie na kawałki. Zatem tymczasowo musisz przysiąc, że będziesz ten pokój umacniał, a nie burzył.

- Tymczasowo?

- Tymczasowo – powtórzył zmęczony moją dociekliwością. Wzruszyłem ramionami, co Wulfhere odczytał jako zgodę.

- Zatem zabiłeś Ubbę? – spytał.

- Zgadza się.

- Tak słyszałem. – Znowu kichnął. – Znasz Edora?

- Znam – odparłem. Edor był jednym z dowódców służących ealdormanowi Oddzie, wojownikiem z ziemi Defnasciru, który walczył z nami pod wzgórzem Cynuit.

- Edor powiedział mi, jak było naprawdę – mówił Wulfhere. – Ma do mnie zaufanie. Na litość boską, przestań się wiercić! – Zirytowany, zwrócił się do Aethelwolda, który właśnie zajrzał pod przykrywający ołtarz Iniany obrus zapewne w nadziei, że znajdzie pod nim jakiś wartościowy przedmiot.

Alfred, zamiast poderżnąć bratankowi gardło, postanowił zanudzić go na śmierć. Aethelwold nigdy nie otrzymał pozwolenia na walkę, gdyż król żywił obawę, by młodzieniec mieczem nie wyrobił sobie sławy wojownika. Stale był też zadreęczany obowiązkiem czytania tekstów pióra Alfreda, czego nienawidził z całej duszy. Znudzony, trwoniał więc czas na polowaniach, popijawach i harcach z pannami, pielęgnując jednocześnie w sercu urazę, że nie zasiadł na tronie.

- Po prostu stój spokojnie, synu – warknął Wulfhere.

– Edor powiedział ci to, ponieważ ma do ciebie zaufanie? – spytałem wzburzony. – Czy mam rozumieć, że to, co się stało pod Cynuit, jest jakąś tajemnicą? Tysiąc ludzi widziało, jak walczę z Ubbą!

– Przykro mi. To na Oddę Młodszego spadł cały splendor – odparł Wulfhere. – Jego ojciec jest ciężko ranny i jeśli zemrze, Odda Młodszy zostanie jednym z najbogatszych ludzi w całym Wessexie. Zacznie dowodzić wielką armią i będzie mógł opłacić całe zastępy księży. A ty nie zdołasz nawet o tym pomarzyć. Dlatego nikt nie chce mu się narażać, rozumiesz? Wszyscy udają, że mu wierzą, bo chcą, by potem był dla nich hojny. Sam król już mu uwierzył, bo dlaczegóż by nie? Odda przybył tu z chorągwią i toporem Ubby Lodbroksa. Rzucił je pod stopy Alfreda, po czym uklęknął, odmówił dziękczynną modlitwę i obiecał wybudować kościół z klasztorem na wzgórzu Cynuit. A ty co zrobiłeś? Zakłóciłeś mszę, wjeżdżając na tym swoim przeklętym koniu, i zacząłeś wywijać mieczem. Popisałeś się wyjątkową roztropnością, zważywszy na pobożność Alfreda, nie ma co.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Wulfhere miał rację. Alfred był prawdziwym, żarliwym chrześcijaninem. Przypodobać mógł mu się jedynie ten, kto wykazywał równie chrześcijańską postawę i przypisywał Bogu zasługi za każdy uśmiech losu.

– Odda to straszna szuja – mruknął Wulfhere, zaskakując mnie tym nagłym wyznaniem – ale jest bliski Alfredowi i nic na to nie poradzisz.

– Ale to ja zabiłem...

– Wiem, co zrobiłeś! – przerwał mi. – Alfred pewnie domyśla się, że mówisz prawdę, ale wierzy, że to się stało dzięki Oddzie. Może sądzi, że walczyliście z Oddą ramię w ramię przeciwko Ubbie. I pewnie go nie obchodzi, że tak nie było,

bo dla niego teraz ważne jest tylko to, że Ubba nie żyje. Przecież to doskonała wiadomość. Tylko że to Odda mu ją przyniósł i dlatego teraz może się na ciebie wypiąć tyłkiem. Jeśli chcesz, żeby królewska straż założyła ci stryczek na szyję, to śmiało – rzucaj się Oddzie do gardła. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak.

Wulfhere westchnął.

– Leofric twierdził, że zrozumiesz to dopiero wtedy, gdy porządnie trzepnę cię w łeb.

– Chciałbym zobaczyć się z Leofrikiem.

– Nie możesz – uciął Wulfhere. – Odesłano go do Hamtun, tam jest jego miejsce. Ty zostaniesz tutaj. Dowództwo nad flotą przejmie ktoś inny. A teraz odprawisz pokutę.

Wydalo mi się, że źle zrozumiałem.

– Co odprawię?

– Musisz się upokorzyć. – Głos po raz pierwszy zabrał Aethelwold. Wyszczerył do mnie zęby. Właściwie nie byliśmy przyjaciółmi, ale swego czasu często piliśmy razem i to nas do siebie zbliżyło. – Ubierzesz się jak białogłowa w pokutne szaty – wyjaśnił uczynnie – a potem pójdiesz na kolanach i odbędziesz pokutę.

– I zrobisz to zaraz – dodał Wulfhere.

– Będę przeklętym...

– Pewnie, że będziesz! – Wulfhere nie dał mi dokończyć i wyrwał Aethelwoldowi biały tłumoczek, który cisnął mi pod stopy. Była w nim pokutna koszula. Nie schyliłem się po nią. – Na litość boską, chłopie – zirytował się Wulfhere – miej trochę oleju we łbie. Masz tu żonę i ziemię, tak? Wiesz dobrze, co się stanie, jeśli nie wykonasz rozkazu króla. Chcesz zostać banitą? Chcesz mieć kobietę w klasztorze? Chcesz, żeby Kościół zabrał ci ziemię? Tego chcesz?

Patrzyłem na niego.

– Wszystko, co zrobiłem, to zabiłem Ubbę i powiedziałem prawdę.

Wulfhere westchnął.

– Jesteś Northumbryjczykiem. Nie wiem, jak tam załatwiają takie sprawy, ale tu mamy Wessex i bogobojnego króla Alfreda. W tym kraju możesz robić, co ci się żywnie podoba, ale nie możesz ruszać Kościoła, a to właśnie zrobiłeś. Przyłożyłeś mu, synu, a teraz Kościół oddaje ci zawiązką. – Skrzywił się, słysząc, jak deszcz bębni o dach namiotu, i zmarszczył brwi na widok kałuży rozlewającej się tuż przy wyjściu. Milczał długo, po czym odwrócił się nagle i spojrzał na mnie dziwnie. – Myślisz, że to będzie miało jakieś znaczenie? Choćby znikome?

Uważałem, że tak. Lecz jego pytanie, wypowiedziane cicho i z goryczą, tak bardzo mnie zaskoczyło, że nie wiedziałem, jak na nie odpowiedzieć.

– Sądzisz, że śmierć Ubby coś zmieni? – spytał znowu. – Nawet gdyby Guthrum zgodził się zawrzeć z nami pokój, uważasz, że z nim wygramy? – Jego grubą twarz wykrzywił grymas. – Jak długo Alfred będzie rządził? Ile lat będzie panował, zanim władzę przejmą Duńczycy?

Wciąż nie miałem nic do powiedzenia. Zauważyłem, że Aethelwold uważnie przysłuchuje się Wulfhere'owi. Miał naiwne marzenie, że kiedyś uda mu się zasiąść na tronie. Brakowało mu jednak zwolenników, a wszelkie jego ambicje były tłumione. Dlatego między innymi wybrano Wulfhere'a na jego strażnika, by nikomu nie sprawiał kłopotów. Choć te, jak wynikało ze słów ealdormana, prędzej czy później i tak miały nadejść.

– Zrób teraz, czego chce Alfred – poradził mi Wulfhere – a potem znajdź sobie jakiś sposób na przeżycie. To wszystko,

co możemy zrobić. Jeśli Wessex padnie, wszyscy będziemy szukać metody, by utrzymać się przy życiu. Nim jednak to nastąpi, włóż tę przeklętą koszulinę na grzbiet i miej to już z głowy.

– Pójdę z tobą – oświadczył ochotczo Aethelwold. Zobaczyłem, że trzymał złożone razem dwie koszule.

– Ty? – zagrział Wulfhere. – Upiłeś się?

– Będę pokutował za pijaństwo. Albo inaczej: byłem pijany, więc jestem pokutnikiem. – Uśmiechnął się i zaczął nakładać szatę. – Idę do ołtarza z Uhtredem – oznajmił z koszulą na głowie, a jego głos tłumilo zgrzebne płótno.

Wulfhere nie był w stanie go powstrzymać, choć dobrze wiedział, że Aethelwold chce z podniosłego rytuału zrobić pośmiewisko. Czulem, że Aethelwold czyni to dla mnie, choć nie pamiętałem, by był mi dłużny jakąś przysługę. Byłem mu jednak za ten gest niezmiernie wdzięczny. Przywdziałem w końcu pokutną szatę i ramię w ramię z królewskim bratankiem ruszyłem ku swojemu upokorzeniu.

Nie byłem nikim ważnym dla Alfreda. W Wessexie miał wielu znamienitych lordów. Podobnie było w sąsiedniej Mercji, gdzie pod duńskim władztwem mieszkali możni panowie i tanowie gotowi w każdej chwili stanąć do walki za Wessex. Ci wszyscy bogacze mogli mu dać wojowników, mogli zgromadzić miecze i włócznie, by bronić smoczego sztandaru królestwa Sasów zachodnich. A ja? Nie miałem niczego oprócz Oddechu Węża. Byłem wprawdzie lordem, lecz mój kraj – Northumbria – znajdował się na dalekiej Północy. Nie byłem w stanie zgromadzić ludzi dla króla. Alfred traktował mnie więc jak kogoś, z kogo będzie mógł zrobić użytek dopiero

w przyszłości. Nie rozumiałem tego wówczas. Z czasem, gdy rządy Wessexu rozszerzyły się na północ, stałem się dla niego bardziej wartościowy, ale wtedy, w 877 roku, byłem jedynie krnąbrnym dwudziestolatkiem widzącym tylko czubek własnego nosa.

Dostałem lekcję pokory. Nawet dzisiaj, u kresu życia, pamiętam gorzki smak tamtej pokuty. Nie rozumiałem, dlaczego Alfred kazał mi tego doświadczyć. Odniosłem dla niego wspinałe zwycięstwo, a on postanowił mnie publicznie upokorzyć. Wymierzyć mi karę za to, że ośmieliłem się zakłócić przebieg mszy. Dla Alfreda był to tylko jeden z wielu powodów. W mojej pokucie widział głębszy sens. Kochał swojego Boga, wielił Kościół i żarliwie wierzył, że dalszy byt Wessexu zależy od posłuszeństwa wobec tej instytucji. Był gotów bronić Kościoła równie zaciekle, jak broniłby swojego kraju. Do tego obsesyjnie wręcz przestrzegał porządku. W jego świecie wszystko miało swoje miejsce, tymczasem ja nie pasowałem do tego ładu. Alfred żywił głębokie przekonanie, że kiedy rzuci mnie na kolana przed Bogiem, stanę się częścią jego uporządkowanego uniwersum. Postrzegał mnie jako niesfornego szczeniaka, któremu najpierw należy spuścić tęgie lanie, a dopiero potem przyjąć do dobrze zorganizowanej sfory.

Dlatego postanowił dać mi lekcję pokory.

Aethelwold natomiast zrobił z siebie głupca.

Ale nie od razu. Na początku wszystko odbywało się z powagą należytą dla tego rodzaju smutnych praktyk. Na to widowisko zebrała się cała armia Alfreda. Mężczyźni ustawili się w dwóch szeregach, rozciągających się aż po zadaszony żaglowym płótnem ołtarz. Padał deszcz. Przy ołtarzu na penitentów oczekiwali Alfred z małżonką, biskupem i grupą księży.

– Padniesz teraz na kolana – poinstruował mnie Wulfhere. – Pójdiesz tak aż do ołtarza. Gdy dojdiesz, ucałujesz obrus, a potem położysz się płasko na ziemi.

– A potem co zrobisz? – Nie wierzyłem własnym uszom.

– Gdy to zrobisz, Bóg i król ci wybaczą – rzekł niewzruszony i odczekał chwilę. – Zrób, jak ci mówiłem – mruknął.

Zrobiłem więc. Padłem na kolana i powlokłem się przez błoto, pomiędzy milczącymi szeregami patrzących na mnie wojowników. Wędrowaliśmy tak chwilę z Aethelwoldem, gdy ten niespodziewanie jęknął głośno, że jest grzesznikiem. Uniósł ręce ku płaczącemu niebu i padł twarzą w błoto. Powiedział, że jest pokutnikiem i wszetecznikiem. Przyglądający się nam żołnierze zdawali się lekko zażenowani tą publiczną spowiedzią, ale po chwili Aethelwold zaczął ich bawić.

– Panie, bądź miłościw mnie grzesznemu, albowiem zadawałem się z niegodziwymi niewiastami – wyznał.

Alfred zatrzęsł się z wściekłości, lecz nie wykonał wobec bratanka żadnego gestu. Może rozbudziła się w nim złudna nadzieja, że skrucha Aethelwolda jest prawdziwa.

– Panie Boże, pokornie przyznaję, że źle postępowałem, nie zliczę kobiet, które posiadałem... – mówił niesforny penitent, uderzając się w pierś. – Boże Ojcze, Ty wiesz jednak, że czyniłem to z miłości do niewieścich kształtów. Jest we mnie słabość, Panie, słabość do nagich kobiet. Błagam Cię, dobry Ojcze, oczyść mnie, nędznego rozpustnika, ze wszystkich cielesnych win!

Coraz więcej osób się śmiało, bo wszyscy wiedzieli, że Alfred, zanim wpadł w żelazne objęcia wiary, słynął ze swego upodobania do płci pięknej, którą licznie zdobywał.

– Dopomóż mi, Panie! – Krzyknął Aethelwold, gdy poczlaliśmy kilka stóp dalej. – Przyjmij me modły i ześlij mi anioła!

– Żebyś mógł sobie z nim pochędożyć? – zapytał donośnie ktoś z tłumu i śmiech przerodził się w ryk.

Zgorszona Aelswith oddaliła się pospiesznie, by nie słyszeć więcej niczego niestosownego. Księża gorączkowo szeptali między sobą. Tymczasem skrucha Aethelwolda, choć nieco przesadzona w formie, robiła wrażenie szczerzej. Królewski bratanek zanosił się od spazmatycznego wręcz płaczu. Wiedziałem, że w rzeczywistości pokładał się ze śmiechu, robił to jednak na tyle umiejętnie, że wielu sądziło, iż jego pokutująca dusza w istocie cierpi, oczyszczając się ze straszego grzechu nieczystości.

– Ojczy mój, klękam przed Tobą i przysięgam Ci: już nigdy nie chwycę za żadną pierś! – obiecywał z twarzą zwróconą ku niebu. – Przrzekam Ci: już nigdy nie dotknę żadnego biustu! Postanawiam mocno, że będę lepszym człowiekiem. Ale i błagam Cię, Boże, dopomóż mi w tym i strzeż mnie przed niewieściami biustami! – zakończył dramatycznie.

Alfred opuścił widowisko ze świadomością, iż podniosły charakter ceremonii legł w gruzach. Większość księży pospieszyła za nim. Dowlekliśmy się z Aethelwoldem do ołtarza, gdzie mój towarzysz zrzucił umazaną błotem pokutną koszulę i nachylił się nad stołem.

– Nienawidzę go – szepnął. Wiedziałem, że mówi o wuju. – Nienawidzę go – powtórzył. – Masz wobec mnie dług wdzięczności, Uhtredzie.

– Wiem.

– Pomyślę o jakiejś przysłudze.

Odda Młodszy nie oddalił się za Alfredem. Sprawiał wrażenie zdeprymowanego. Oczekiwał, że będzie wybornie się bawił podczas mojej lekcji pokory, a tymczasem akt skruchy zamienił się w błazenadę. Wiedział, że ludzie mu się przyglądają,



poddając osądowi jego prawdomówność. Przysunął się do gigantycznego osilka, który musiał należeć do jego przybocznej straży. Był to wysoki i niebywale barczysty człowiek, ale prawdziwą grozę budziła jego twarz. Wyglądała, jakby skóra zbyt mocno przykleiła mu się do czaszki i zastygła we wściekłym grymasie. Okrucieństwo biło od niego jak smród od mokrej psiej sierści. Gdy na mnie spojrzał bezdusznym spojrzeniem dzikiego zwierza, pojąłem, że powinienem się strzec tego człowieka, gdyż Odda będzie chciał się nim posłużyć, by wyprowadzić mnie na tamten świat. Odda był nikim, był zepsutym synalkiem bogacza, ale jego fortuna dawała mu władzę i pozwalała rozkazywać zabójcom takim jak ten. Po chwili Odda szarpnął olbrzyma za rękaw i obydwaj odwrócili się i odeszli.

Za ołtarzem stał ojciec Beocca.

– Ucałuj ołtarz – nakazał – a potem połóż się na ziemi. Wstałem.

– Możesz pocałować mnie w dupę, ojczy – odparowałem zajadle.

Beocca cofnął się bez słowa.

Wykonałem rozkaz króla. Odbyłem pokutę.

Stojący obok Oddy Młodszego wielkolud miał na imię Steapa. Nazywano go Steapą Roztropnym lub Steapą Mądrym.

– To taki żarcik. – Mrugnął okiem Wulfhere, gdy zdarłem z siebie pokutną szatę i włożyłem kolczugę.

– Żarcik?

– Steapa jest głupi jak but – skwitował ealdorman. – Zamiast mózgu ma żabi skrzek. To kompletny matole, ale lepiej z nim nie zadzierać. Wybornie walczy. Nie widziałeś go pod Cynuit?

**Jak Gra o tron, ale prawdziwa.**

„THE OBSERVER”

**Bernard Cornwell tworzy najlepsze sceny batalistyczne spośród wszystkich pisarzy, których czytałem.**

GEORGE R. R. MARTIN

Drugi tom bestsellerowej serii Bernarda Cornwella o losach bohaterskiego Uhtreda z Bebbanburga. Na jej podstawie BBC realizuje serial *Upadek królestwa*.

**Mimo pokonania Duńczyków** pod Cynuit i przechylenia szali zwycięstwa na stronę wojsk angielskich Uhtred popada w niełaskę u króla Alfreda. Rozgoryczony wyrusza na łupieżcze wyprawy, by zdobyć skarby i spłacić Kościołowi dług, jaki przeszedł na niego, gdy ożenił się z Mildrith.

Tymczasem Duńczycy łamią zawarty z Alfredem rozejm i podbijają niemal cały Wessex. Uhtred znów będzie musiał stanąć do walki z najeźdźcą...

Więcej o całej serii:

[www.wojnywikingow.pl](http://www.wojnywikingow.pl)

E-book dostępny na [woblink.com](http://woblink.com)

ISBN 978-83-7515-528-0



9 788375 155280

Cena detal. 54,90 zł



WYDAWNICTWO  
**OTWARTE**

